

SK A. II. 2
8 września 1969 r. X

89

Drogi Panie Stanisławie,

Chyba można się cieszyć razem z Panem z nowego locum, bo przecież już nowy adres zamieszkania. Czyżby dostał Pan oczekiwane długo mieszkanie w nowym budownictwie - anto radość duża, grytuję.

Długo czekał Pan na list, ale już tym razem pozwolę sobie wygadać się. Otóż byłam na urlopie nad Bałtykiem, "uwędziłam się" na całą zimę, ale też i rozleniwiałam się, bo w czasie urlopu zawsze tak bywa, że tylko się je, śpi i koczuje po naszej kochanej ziemi.

W tym roku jesień, taka jak była przed 30-laty - ciepła, słoneczna, a ostatnio bardzo "grzybowa". U nas to szła ogarnąć wszystkich grzybobieraczy, całymi rodzinami już o godz. 3 w nocy pędzą na "grzyby", a ponieważ ten cały "krowód" odbywa się pod moim oknem, /bo mieszkam nad "SAMEM"/ przy ulicy bardzo ruchliwej, a więc moja noc zawsze jest skrócona hałasem tegoż "krowodu" który celem rozgrzewki jest po "kropelkach" i zdaje mu się, iż to już las i można sobie użyć ile się chce pokrzykując "hop.hop itp./.

Obecnie wszyscy i wszędzie wspominają ten dawny, pamiętny wrzesień. Tylko tym co mogą słuchać od tych dniach, to często się zdaje, iż to fantazja opowiadającego i niemożliwa do przeżycia. A jednak my do tych szczęśliwych zaliczamy się, iż możemy /choć z bólem w sercu i nieraz ze łzami w oku/ wspominać te koszmarne dni wielu z nas - dni młodości i nawet lat młodzieńczych, a nieraz i szkolnych.

Każdy z nas AK-ców wie, że kiedy złożył przysięgę (składając dwa palce na krzyżu,) to już jego życie należało do Ojczyzny, a osobiste życie było przekreślone. A kiedy się dostawało zadanie - rozkaz bojowy - to każdy z nas miał przy sobie maleńką piguleczkę /ciancali/, która dawała możliwość zabrania ze sobą do grochu tajemnicy wojskowej i uratowania innych kolegów, którzy stawali na jego miejsce do boju, hydrą hitlerowską. Tą pigułkę zawsze miałam przy sobie i nosiłam ją dobrze ukrytą, ale tak, aby można było w razie potrzeby szybko użyć. Była też zemną nawet na "wypnaniu w zaświatach" przez długie, długie lata, prawie do powrotu do Ojczyzny. Praca na wileńszczyźnie była tym trudniejsza, bo pełno było szpicli wśród litwinów i foks-dauczów, więc trzeba było być bardzo czujnym i przebiegłym, aby nie dać się łatwo schwytać w matnię gestapo. Do walki stanął cały lud polski i każdy dom był naszą twierdzą, gdzie można było zawsze oczekiwać w potrzebie na pomoc i schronienie. Każdy AK-wiec od dnia przysięgi już nie mógł liczyć na spokojny sen, tylko musiał zawsze czuwać, a więc "spał jak zając".

Jak podzielona była praca wśród całego AK, to szczegóły może podać tylko ten, co był w Sztapie. Ja wiem to że kobiety przejąłnie były jako łączniczki, siostry PCK, pracowały w wywiadzie i przy produkcji "Sidolek" i innej broni. Do łączności należały też dzieci od lat 10-ciu, na nich mniej zwracano uwagę, kiedy szpicle miały jakieś wieści.

O tych dniach walki, można wiele pisać, ale do tego trzeba mieć zdolności pisarskie, a "wołowa skóra" wszystkiego niezmieściłaby. Ja kiedy nawet przyśnią mi się te dni koszmaru, to zrywam się dostając dreszczy na samo wspomnienie.

Wiem, że Pan napewno zbiera materiał, aby móc wydać jakąś książkę, ewent. niektóre z tych przeżyć przeczytać przy spotkaniach z młodzieżą, to też ja proponuję, aby wszyscy, których Pan zna i ma z nimi kontakt - przysłali choć jedno swoje wspomnienie i z tego potem ktoś, mający zdolności literackie wybierze tematy, wygładzi, powiąże w jedną całość i będzie tom "O pracy AK na wileńszczyźnie".

Ja przytoczę króciutko jedno swoje wspomnienie.

Było lato, ciepłe, upalne, słoneczne, pachące kwiatami na łąkach. Chyba to był czerwiec - dobrze sobie nie mogę przypomnieć. Dostałam rozkaz udania się w/g szyfru na miasto, do lasu, gdzie miałam mieć do wykonania dalsze rozkazy. Długo, długo musiałam iść polnymi ścieżkami, lasem do punktu, gdzie czekał na mnie ktoś, któremu musiałam wymienić "hasło" i znak rozpoznawczy pokazać. Potem znów szłam przez gęsty las, aż / to był las Antokolski/ wreszcie zobaczyłam maleńki, niepokazany drewniany domek. Przy domku był ogródeczek warzywny i sadek owocowy. Weszliśmy do środka. Poczulałam zapach suszonych ziół, które były rozłożone po całym maleńkim pokoiczku. Wszędzie ich było pewno. Przywitała nas cichuteńko schludnie ubrana starsza pani, która to prowadziła "ten zielenik". Pseudonim Jej był "Sowa" czy "Osa" naprawdę nie pamiętam. Łącznik i ta "Osa" zaprowadzili mnie waziuteńkami schodeczkami na strych tego domku. Tam było już kilka osób. Poinformowano mnie szpitem, gdzie są urządzone w ścianach skrytki dla schowania się w razie potrzeby. Nikt ^{nie} przyglądał, aby potem nie było potrzeby poznawania się w razie spotkania przy innych okolicznościach. Dowódzca grupy "Feniks" /bcenie w Opłolu/ rozdał każdemu z nas materiał wybuchowy, który trzeba było załadować do specjalnych opakowań do przerzutów do innych miejsc, gdzie był potrzebny. Szybko zabraliśmy się do pracy. Na strychu było staro, bo tylko przez maleńką szparkę sączyło się światło. Przez tę szparkę "obserwator" czuwaliśmy, aby "roboty" nie była przerywana przez niepożądanych "w mudurach", albo szpicli. Nad pracą naszą też czuwała na dole "Osa" / czy Sowa/. Parę godzin

trwała w ciszy i skupieniu gorączkowa praca naszych rąk, aby móc jaknajwięcej przygotować tej broni "w puszkach", aż tu dyżurny przy "oczku" dał znak, że ktoś iedzie przez las i to w mudach. Trzeba było szybko schować i zamaskować naszą pracę, a samym natychmiast włączyć do "skrytek" gdzie siedziało się skreconym "we czworco" mając kolana pod brodą. W takiej pozycji długo wytrzymać byłoby trudno. Wnet zajechał samochód osobowy i ciężarówka. Wysiadł gruby, pękaty oficer niemiecki i wszedł do izby, gdzie była na czatach nasza "zielarka". Przez maleńką dziewczkę/ jak szpilka/ słuchał jeden w "skrytce" rozmowę "Osy" z przybyłym katem, Ta Pani znała dobrze język niemiecki. Niemiec zainteresował się czym ona się zajmuje i co tu robi na tym pustkowiu. Otóż "Osa" mu wyjaśniała w sposób krótki i jasny, że ma zioła na wszelkie dolegliwości i to jej zajęcie, suszy i sprzedaje na rynku. Kiedy ten szubrawiec zmierzał obejrzeć stryszek, bo może tam są "bandyci", to mu powiedziała, że niech lepiej jej zaufa, bo echody są bardzo stare, spróchniałe i mogą runąć pod jego butami. Na nasze szczęście nie oponował tłuszcioch przekonaniom naszej "Osy" i wszedł, zapowiadając swój przyjazd na drugi dzień po zioła. Po tej "gościnie" trzeba było jaknajszyciej likwidować całą "robotę" i samym umykać w inne miejsce pracy. Kiedy już dobrze zmierzkało, w naszym ruchomym ogródku warzywnym podnoszono grządki; które była na deskach dla maskowania zrobione - i tam były przygotowane doły, gdzie trzeba było zakopać narazie cały przygotowany materiał do przerzutu na inne bezpieczniejsze miejsce, a potem użyć do walki z najeźdźcą.

Pamiętam, że kiedyś miałam zadanie spotkania się z łącznikiem, u wylotu cementarza na Rossach. Spotkanie było naznaczone na godzinę późną wieczorem. Wieczór był ciepły, jesienny, księżyc w pełni świecił jak duża lampa. Ulice ciemne, tylko cienie domów przy księżycu odbijały się na chodnikach. Szłam na cmentarz i w tedy muszę się przyznać wcale nie bałam się, bo przecież najbezpieczniej było na cementarzu, gdzie szpicle rzadko zaglądali, a skrytki w grobowcach były wspomnianiałe. Kiedy tam szłam przez cały cmentarz, aż do wylotu innej bramy, zbłądziłam, bo w pewnej chwili zaszeleścił liść jesienny i spadł tuż koło nogi, zdawało mi się, że to ktoś żywy za mną kroczy, skrećłam w inną ścieżkę między mogiłami i tym samym poszłam mylną drogą do wylotu drugiej bramy, gdzie na mnie miał czekać, ktoś w/g znaków i hasła i dać mi paczuszkę z bronią do przerzutu. Byłam już przy murze i musiałam przebrać się na drugą stronę, ale jakoś tak fatalnie przełaziłam, że upadłam i dobrze uderzyłam kolano. Lecz w tej chwili bólu nie mogłam czuć, bo miałam do wykonania zadanie którego nie mogłam nie wykonać, bo tam czekali inni na broń wroga.

Czasu nie było na "cackanie się z kolanem". Szybko poszłam na umówione miájsce, tam czekał już "dostawca broni". Miałam ze sobą koszyk na jabka, bo to była jesień, w sadach dojrzały jabłka. Paczką z bronią położyłam na dno koszyka, a na wierzch dostałam od tegoż "dostawcy" smakowite jabłuszka i tak obraczona szybkim krokiem już innymi krętymi drózkami spieszyłam do innego punktu gdzie dostarczyłam część jabłek i ~~broni~~. Sama musiałam wrócić do coraz innej "spelunki" na "zajęczy sen", bo następny dzień przyś - nosił nowy, bojowy rozkaz do walki z wrogiem.

Ach gdym miała choć kłochę talentu pisarskiego, wiele, wiele można napisać dla tych, co urodzili się w tych dniach powstawania z gruzów naszej drogiej Ojczyzny, żeby nigdy nie zapomnieli, że "wróg jest ten sam" i trzeba czuwać, aby zapewnić nowemu pokoleniu spokojne życie w wolnej odbudowanej Polsce.

Drogi Panie Stanisławie, ponieważ już niedługo zbliża się mój start życiowy - renta, zaszła omyłka w tym, że Pan przysłał mi na przesłanych przeze mnie brulionach/ do zwrotu/ zawiadoczenie o mojej pracy w AK, to też obecnie załączam już przepisane na "czysto" to zaświadczenie i proszę je zaopatrzyć pieczętą /ważną do renty/ i podpisem, a także przy okazji przesłać Panu Zygmuntovi, a potem zwrócić mi "czystopis" łącznie z brulionem.

Ten rok zaczął się dla mnie skutkiem i dalej ciągle kogoś chowam, odchodzą moi przyjaciele i przyjaciółki do Bożi, może tak i lepiej, tylko że nie ma słonka, które ja tak uwielbiam.

Łączności z AK-ońcami z mojej grupy niestety nie mam. Jedyne mam adres Pana, p. Kazimierza - z którym nie wiem co się dzieje, bo dawno nie miałam żadnej wieści - czy aby zdrów? No a z p. Zygmuntem., a więc ten kontakt i Pan ma, więc materiał oni sami przyślą do Pana, celem skorygowania i włączenia do tomu naszej wileńskiej pracy.

Życzę dużo, dużo radośnego nastroju, słonecznej drogi życiowej i zdrówka Panu i całej Rodzince.

Jak wypadły moje "wypociny" wspomnień, proszę mi o tym dać znać.

Janina *Jellson*
- Krystana

Mitosz